

Rany boskie...

Panie Mecenasiu,
Drogi Przyjacielu,

To była jesień 2005 r. Napisałem do redakcji „Palestry”, pisma, które znakomicie znałem już w okresie studiów, z gratulacjami świetnego felietonu na temat bliskiej mi problematyki. Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Po kilku dniach napisałem drugiego e-maila, w którym dodałem, że chciałbym pilnie wydać książkę. Tym razem otrzymałem odpowiedź – był to 26 września 2005 r., godz. 14.41 (archiwum poczty elektronicznej nie zawodzi):

Uprzejmie proszę o bardzo pilny kontakt telefoniczny, jeśli nie do redakcji, to na tel. kom. 0 502... Proszę przygotować też bardzo pilnie pismo do [...] z prośbą o wsparcie finansowe wydania pracy. Koniecznie proszę też przesłać 1 egz. książki wraz z recenzjami. [...] Sprawa niezmiernie pilna. Pozdrawiam, Stanisław Mikke

Książka ukazała się bardzo szybko. Była to pierwsza moja książka.

Tak się zaczęła nasza znajomość, która – jak mówiłeś – w ciągu kolejnych lat ewoluowała w kierunku serdecznej przyjaźni. „Ja się znam na ludziach” – dodawałeś z uśmiechem.

Ogromna życzliwość i pomoc, jakiej wtedy od Ciebie doznałem; od Człowieka, którego nigdy nie widziałem, który nigdy wcześniej o mnie nie słyszał. Jedna wiadomość, jeden telefon i tyle dobra... Potem przyszło zaproszenie na łamy „Palestry”. Nie mogłem jeszcze wtedy przypuszczać, że za kilka miesięcy będę miał zaszczyt uczestniczyć w procesie redakcyjnym.

W tę straszną sobotę 10 kwietnia nie mogłem powstrzymać się od płaczu, od stawiania pytań: Dlaczego? Jak to możliwe? Może to koszmar? Może się z niego obudzę? Niestety, to nie był koszmar. Rany boskie!

Rzadko płaczę... Może w kilku bardzo odległych w czasie sytuacjach. Uświadomiłem sobie, że nie płakałem nawet na wieść o śmierci kochanego Ojca... a teraz nie mogłem powstrzymać łez. Może dlatego, że Ojciec umierał po ciężkiej chorobie. Mogliśmy się przygotować, jakoś pożegnać, pogodzić z losem, a Ty... Mieliśmy się spotkać w poniedziałek, a zadzwonić po Twoim przylocie.

Nie mogłem znaleźć sobie miejsca... i tak przez kolejne dni. Nie zdawałem sobie sprawy, że byłeś dla mnie tak bliską Osobą. Tak obecną w moim, a właściwie naszym życiu, na obronie doktoratu, na ślubie... i na co dzień, pięć dni w tygodniu – w pracy nad kolejnymi zeszytami tak kochanej przez Ciebie „Palestry”, nad inicjowanymi przez Ciebie wystawami...

W piątek przed wylotem odebrałeś drugie wydanie książki swojego życia „Śpij, Mężny” w Katyniu, Charkowie, Miednoje... – znacznie uzupełnione. Pierwsze, jeszcze ciepłe egzemplarze wzięłeś do samolotu by rozdać uczestnikom uroczystości. Bardzo się cieszyłeś, że mimo przeszkód udało się książkę wydrukować – w ostatniej chwili. Wzięłeś też część korekty „Palestry”, którą mieliśmy oddać do druku w poniedziałek... Oddaliśmy kilka dni później, już bez Ciebie.

O tym, jaki byłeś, napisało wielu Twoich przyjaciół. Mi, w ostatnich dniach, rysują się liczne obrazy z tak nieodległej przeszłości. Twoje cenne rady, wskazówki, np. ta, że w zasadzie każdy tekst można skrócić bez utraty jego wartości. To prawda. Przypominają się sytuacje, w których spieraliśmy się... tak delikatnie, jak nad projektem okładki do „Palestry” chopinowskiej.

Wszyscy wiedzą, że przywiązywałeś nadzwyczajną wagę do okładek. Dzięki Tobie okładki „Palestry” to perełki. Żadne inne pismo prawnicze nie ma podobnych. Zawsze jakiś motyw przewodni, jakiś symbol: „wznoszący się orzeł” – podnosząca się adwokatura, „dąb” – siła i trwałość adwokatury, itd. Chyba tylko trzykrotnie udało mi się przeforsować własne pomysły. Czasami głowiliśmy się w redakcji we trójkę nad kilkoma projektami okładek. W przypadku numeru chopinowskiego powstały trzy wersje pierwotne. Mnie spodobał się projekt bardzo podobny do wersji ostatecznej, ale w kolorze lekkiego brązu. Tobie spodobała się tylko koncepcja, ale kolor – „co to, to nie. Ja nie lubię brązowego koloru, choć ponoć mi w nim do twarzy” – powiedziałaś. Grafik musiał zmienić kolor na żółtozielony. A brązu nie lubieś, bo – jak mówiłaś – pozostał uraz z dawnych lat, gdy jedyny materiał na garnitur, jaki mogeś w tamtych czasach kupić, był koloru brązowego.

Dbaleś o szczegóły. Do wystąpień publicznych przygotowywałeś się bardzo długo i zapewne dlatego były one znakomite... bo przecież złotousty mówca to mówca przede wszystkim świetnie przygotowany. Dwa tygodnie po tamtej sobocie miałeś polecieć do Moskwy i tam wygłosić referat o znaczeniu miejsc pamięci, o prawie do godnego pochówku. Wystąpienie napisałeś już miesiąc wcześniej. Wiem już, że referat zostanie przetłumaczony na język rosyjski i odczytany na konferencji, a poprzedzony informacją o Tobie.

Ostatnio radziłaś się nas, czy w książce, kiedy przytaczałaś pewną mało zabawną historię, która zdarzyła się chyba w Katyniu, w trakcie drogi na miejsce ekshumacji z Twoich ust padły słowa „dam mu w mordę” – jako reakcja na zachowanie jednego z uczestników. Długo zastanawiałaś się, czy możesz w tekście drukowanym napisać „w mordę”, czy to przystoi? Pytałaś: „może lepiej w pysk”? Tak też pracowałaś nad wieloma tekstami. Skrupulatnie.

Byłeś ideowcem, człowiekiem poświęcającym się pasjom, a – jak wiemy – największą z nich była Rodzina, a zaraz potem „Palestra”. Uczyniłeś z tego pisma, którym kierowałeś przez ponad 17 lat, periodyk wyjątkowy, jedyny w swoim rodzaju, zarówno naukowy – doceniany przez ministerstwo nauki, jak i społeczno-kulturalno-zawodowy. Dbałeś o przypomnianie ważnych dla Polski i środowiska prawniczego rocznic, o przywoływanie do świadomości istotnych wydarzeń i osobistości. W „Palestrze” jest miejsce dla rozpraw naukowych, stałych felietonów i artykułów tematycznych, orzecznictwa ETPCz, ETS, TK, SN, głos, polemik, recenzji, sprawozdań oraz relacji z życia advokatury. Pismo cenione jest przez chyba każdego prawnika i nie tylko, bo i nieprawnik znajdzie w „Palestrze” również coś dla siebie.

W czasie korekt kolejnych numerów, czasami nawet czterech korekt, dbałeś szczególnie o tzw. dział adwokacki, pozostałość stopniowo cedując na młodszego kolegę i zaszczepiając w nim swoje pasje. Pilnowałeś, aby nikogo nie urazić. Czasami godzinami przekonywałeś autora, aby wykreślił jakieś zdanie: „Rany boskie! Zobaczysz, ja mam wycucie, to może zostać źle odebrane” – ile razy tak tłumaczyłeś konieczność zmiany fragmentu tekstu lub choćby jednego wyrazu. Pracując nad swoim felietonem „Bez togi”, potrafiłeś zastanawiać się nad każdym niemal słowem i konsultować z trójką, czwórką przyjaciół.

W tę straszną sobotę, kilka godzin po katastrofie spotkałem Twojego ukochanego synka Włodzia, który tak często bywał z Tobą w redakcji, jak wskazywał nazwisko swojego Taty jako organizatora wystawy „Adwokaci – Ofiary Katynia”, wystawy, którą oglądaliśmy redakcyjną trójką jeszcze w czwartek 8 kwietnia, siedem dni po jej ustąpieniu przy kościele św. Anny w Warszawie. Podszedłem do Włodzia, przytuliłem go i zapytałem, jak się trzyma. Odpowiedział: *dobrze, tylko jest mi trochę smutno. Mama i Kasia są bardzo smutne. A przecież jeszcze nic nie wiadomo. Tata wróci, prawda?* Łzy cisnęły się, a smutek rwał serce. Przecież już wszystko było wiadomo.

Teraz patrzysz na nas Stamtąd. Nie wiedziałeś, że On Wezwie... ale wiesz, my też wiemy, że w zawodach dobrych wystąpiłeś... Wiesz też, że damy sobie radę.

Pamiętasz jak pozostawiłeś nam przygotowanie wystawy „Adwokaci Polscy Ojczyźnie” – byłem zły... A dziś, wspominam i uśmiecham się, bo pamiętam te „korektorskie” noce spędzone w redakcji w gronie naszej trójki. Pamiętasz, jak – chyba po północy – jeździłeś po mieście szukać czegoś do jedzenia, bo zanosilo się, że popracujemy do rana... zjedliśmy chińszczyznę. Rzeczywiście pracowaliśmy niemal do rana i nie była to jedyna noc... ale wystawa i towarzyszący jej dwujęzyczny album były i są imponujące.

Wczoraj odczytywałem archiwalne sms-y, a wśród nich ten z 4 lutego 2010 r. z godziny 18:40: *Palce odmrożone, ale tablica przybita. [...]* W tym czasie odpoczywałeś w z Rodziną w Zakopanem. Przed wyjazdem przygotowałeś metalową tablicę z informacją:

W tym pensjonacie SANATO ostatnie miesiące życia spędził i napisał głośną nowelę pt. „Koń na wzgórzu” wielki polski pisarz i poeta, porucznik WP, żołnierz wojny 1920 roku, od-

znaczony Krzyżem Virtuti Militari Eugeniusz Małaczewski. Urodził się w 1897 r. w Humaniu na Ukrainie, zmarł w 1922 r. w Zakopanem i tu jest pochowany na nowym cmentarzu przy ul. Nowotarskiej. Kochał Polskę.

Twoja fascynacja tym wybitnym, a dziś niemal zapomnianym pisarzem to długa historia, którą pokrótce przybliżył w niniejszym tomie p. Wojciech Wilczek. Uśmiech pojawia mi się na twarzy, gdy przypominam sobie, że w dniu, w którym wysłałeś sms-a kupiłeś specjalne gwoździe (ponoć takie, których nie można wyjąć) i wspólnie z Włodziem, wczesnym wieczorem, poszedłeś pod dawny pensjonat Sanato, wszedłeś na śnieżną wydmy i jak najwyżej się dało przybiłeś tablicę.

Nad moim biurkiem wisi portret Marszałka Piłsudskiego – szkic autorstwa Zdzisława Czermańskiego – na odwrocie od Ciebie i Twojej dzielnej Żony dedykacja i data mojego ślubu ...

Rany boskie ...

dr Adam Redzik
UKSW, UW
redakcja „Palestry”